

gdzie mieszka, gdyż podany adres okazał się fałszywym.

Te dwa straszne odkrycia, otoczone tajemnicą, której niepodobna było przeniknąć, sprowadziły istną burzę na głowę prefekta i skłoniły ministra do zagrożenia mu dymisyją.

Jedyną pociechą było dla zgnębionego prefekta, iż zdołał wymóżyć na ministrze pozwolenie sprowadzenia z Ameryki sławnego detektywa Sebastyna Blaue. Był to jedyny człowiek, który mógł uratować sytuację. Ta myśl pokrzepiała pana Ducroc, gdy odjeżdżał po posłuchaniu u ministra. W samochodzie znalazł dziennik poranny. Rozwinął go nerwowo, odwrócił ze złością pierwszą stronę, poświęconą artykułowi „Biedy pana Ducroc” i przejrzał drugą, gdzie oczy jego zatrzymały się na „kronice”.

„Donoszą nam z Londynu o małżeństwie pana Bridgeton, znanego jubilera z ulicy Royale, z panią Ellen Terrys, elegancką Amerykanką, której piękność zrobiła sensację podczas ostatniego balu jubilerów. Ślub odbył się w ścisłym kółku rodzinnym. Państwo młodzi zabawią przez krótki czas w Londynie u rodziny p. Bridgeton, poczem powrócą do Paryża...”

— Co za bzdury! — wykrzyknął Ducroc, mnąc ze wstrętem gazetę i wyrzucając ją na bruk. Głupstwa albo wymyslenia! — oto treść naszych gazet!

ROZDZIAŁ XVII.

Gładiator.

Po powrocie do biura, prefekt otrzymał z rąk starego Bernarda, policyanta, służącego w prefekturze od dwudziestu pięciu lat, depeszę pneumatyczną. Rozerwał szybko kopertę, będąc pewnym, że zawiadamiają go o nowej katastrofie.

Ale omylił się. Depesza nie zawierała nic przykrego i twarz Ducroca ożywiła się, gdy czytał:

„Mój stary, zapraszam cię na śniadanie, na dzisiaj. Po białej kawie zaprowadzę cię do mojej pracowni, gdzie obejrzysz moją ostatnią pracę, przeznaczoną na wystawę. Powiedz mi, co o niej myślisz. Liczę na ciebie na pewno i nie chcę słyszeć o żadnych pilnych sprawach”.

„Escartebèque”.

Pomimo przygnębienia, Ducroc nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Escartebèque, sławny rzeźbiarz, którego dzieła na ostatniej wystawie cieszyły się dużym powodzeniem, był jednym z najlepszych kolegów uniwersyteckich prefekta.

Przytem była to doskonała sposobność zapomnienia o przykrościach przy serdecznej, przyjacielskiej pogawędce.

Punkt o dwunastej prefekt dzwonił u drzwi rzeźbiarza. Otworzył mu sam gospodarz.

— Ach! co za niespodzianka! — zawołał z radosnem zdziwieniem.

I dodał, ściskając dłoń gościa:

— Zostaniesz naturalnie na śniadaniu!

Ponieważ Ducroc, oszołomiony, patrzył nań ze zdziwieniem — ciągnął, nie dając mu dojść do słowa.

— Tak... tak... mój stary, nie spodziewałem się ciebie, ale skoro przyszedłeś, nie puszczę tak łatwo!

— Jakto nie spodziewałeś się? — odezwał się wreszcie szef bezpieczeństwa w zdumieniu. — Cóż w takim razie oznacza ta depesza?

Rzeźbiarz, zdziwiony z kolei — przeczytał depeszę i zwrócił ją, skrobiąc się w głowę.

— Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli coś rozumiem! Moje pismo tak podrobione, że sam mógłbym się pomylić, ale upewniam cię, że to nie ja pisałem!

— Więc któż?

— To musi być żart któregoś z moich uczniów! Oni to potrafią! Bodaj to być młodym! Ale my to wyświetlimy. Tymczasem, proszę cię, do jadłalni.

Przy śniadaniu Escartebèque opowiedział, że rzeczywiście skończył grupę, przedstawiającą gladiatora walczącego z lwem i że tę grupę odlewają obecnie w zakładzie braci Reginald.

— Ale Reginald pisał mi w zeszłym tygodniu — kończył rzeźbiarz, że grupa będzie gotowa jutro lub

pojutrze. W jaki więc sposób mógł ją przysłać wcześniej? Zresztą zobaczymy.

Po czarnej kawie, obaj panowie udali się piechotą do pracowni rzeźbiarza, położonej w ogrodzie przy bulwarze Lannes.

— Czy nic nie przywieźli dla mnie od Reginalda? — zapytał rzeźbiarz odźwiernego, który otworzył im drzwi.

— Owszem, proszę pana, przywieźli! Kazałem to ustawić w pracowni.

— To moja grupa! — krzyknął rzeźbiarz, zacierając wesoło ręce. Chodźmy, Ducroc, obejrzeć. Nie chwale się, ale to mi się udało!

Mówiąc to, prowadził prefekta, który po tej dziwnej depeszy był już przygotowany na jakąś straszną niespodziankę.

Wszedłszy do pracowni, rzeźbiarz rozglądał się i spytał ze zdziwieniem odźwiernego:

— Gdzie jest moja grupa?

Zapytany wskazał palcem. Na tle olbrzymiej niedźwiedziej skóry stała figura gipsowa naturalnej wielkości, nic wspólnego nie mająca z gladyatorem.



— Książę! — krzyknęli jednocześnie zarządzający piwnicą i płatniczy.

— To moja grupa? — krzyknął z gniewem rzeźbiarz. To straszdyło przysłałi od Reginaldów? Odpowiadaj mi zaraz! — Co to za głupie żarty?

Przypomniałszy sobie mistyfikację z depeszą, artysta krzyczał z rosnącą wściekłością:

— Dobrze... Ja im pokażę! Nauczę ich, co to znaczy stroić żarty z Jana Escartebèque!

I chwyciwszy młotek, leżący na ziemi, podskoczył do figury i uderzył z całej siły po wyciągniętym ramieniu.

Wówczas stało się coś dziwnego.

Ramię, które pod uderzeniem powinno rozpaść się w tysiąc kawałków, wydało tępy dźwięk, lecz nie opadło! Jedynie kilkanaście odłamków gipsu rozleciało się we wszystkie strony, odsłaniając nagie ramię.

Podniecony tem strasznem odkryciem — Escartebèque szybkimi uderzeniami młotka odbił powłokę gipsową...

Wówczas oczom obecnych ukazało się ciało mężczyzny średniego wzrostu, zupełnie nagie, o skórze suchej i naciągniętej.

Dzięki sztywności trupy i powłoce z gipsu ciało to zachowało postawę, jaką nadał mu odlewacz. Rzeźbiarz ostatniem uderzeniem młotka odbił maskę

gipsową, zakrywającą twarz i Ducroc, który dotąd przypatrywał się w milczeniu, wydał okrzyk!

Figura gipsowa zawierała ciało inspektora Stauba!

Część II.

Na tropie.

ROZDZIAŁ I.

Telegram bez drutu.

Szef bezpieczeństwa opadł bezsilnie na fotel. Cały ranek spędził w pracowni braci Reginald, nie będąc w stanie znaleźć najmniejszego wyjaśnienia w tajemniczej sprawie Gladyatora.

Dowiedział się tylko tyle: Bracia Reginald otrzymali poprzedniego dnia od Escartebèque'a list przynaglający, by ukończyli odlew grupy. Wobec tego pracowano w nocy i odlew na rano był gotów.

Oczywiście list ten, zarówno jak i depesza, przesłana prefektowi, nie pochodziły od rzeźbiarza.

O godzinie ósmej zrana grupa była umieszczona na wozie w obecności obu braci Reginald, którym niepodobna było nie wierzyć. W dwie godziny potem, woźnica powrócił z potwierdzeniem odbioru grupy przez odźwiernego rzeźbiarza. Odźwierny, nie wiedząc co przyjmuje, podpisał się, i kazał ustawić „gladiatora” w pracowni. W jaki sposób dokonano zamiany? Mógł to wyjaśnić jedynie woźnica.

Służył on u braci Reginald od piętnastu lat i nigdy nie zasłużył na najmniejszą naganą. I napewno udzieliliby potrzebnych wyjaśnień, gdyby nie jakiś fatalizm, który przeszkodził rozwikłaniu zagadki. Woźnica w parę godzin po powrocie nagle zmarł. Lekarz stwierdził atak apoplektyczny.

Czy można to było nazwać fatalizmem? Ducroc nie wierzył w to. Znał zanadto dobrze Fabrykanta mumii i jego piekielne sposoby, dzięki którym wszystkie jego zbrodnie nosiły cechy fatalizmu. Dalsze poszukiwania były bezużyteczne. Woźnica zabrał ze sobą tajemnicę i nigdy nie dowiedziano się, w jaki sposób ten uczciwy człowiek mógł stać się współnikiem zbrodniarzy.

I tak było przy każdym z tych straszliwych wypadków, których tajemnicę napróżno starał się przeniknąć prefekt policyi. Za każdym razem zdawało mu się, że jakiś głos ironiczny mówi mu drwiąco do ucha:

— Nie rozvikłasz tego!

Tak samo było z panią Jude, o której winie Ducroc był najgłębiej przekonany i której mimoto nie można było nic dowieść.

Dwaj lekarze, specjaliści, po zbadaniu wydali orzeczenie zupełnie zgodne ze zdaniem doktora Vanesco. Wpuszczono ją na wolność i śledzono jak najstaranniej, ale nic podejrzanego nie można było zauważyć. Oczywiście sprytna kobieta miała się na baczności i była ostrożną.

A Leymann! Szef bezpieczeństwa nie mógł myśleć o nim bez gniewu.

Miano przeciw niemu dowody krzyczące, przyłapano go prawie na gorącym uczynku, mimoto nie tylko się wykręcił, lecz sprowadził na głowę prefekta istną burzę zarzutów i wymówek, iż aresztował nieopatrznie cudzoziemca, narażając przez to państwo na komplikacje natury dyplomatycznej.

Leymann istotnie — jak groził — poskarżył się swemu ambasadorowi, a swą nocną wycieczkę wytłumaczył w bardzo prosty sposób: miał on w Paryżu siostrę, która chowała się przed mężem podejrzanej kondyty, który wyludzał od niej pieniądze. Dwukrotnie ów mąż pod pozorem, iż niepokoi się zniknięciem żony, poszukiwał jej przy pomocy policyi, która bez wielkiego trudu odnajdywała „zaginioną”. Za każdym razem Leymann przychodził z pomocą nieszczęśliwej i ukrywał ją nanowo, dzięki swym stosunkom.

(Ciąg dalszy nastąpi).